

Gwiazdor filmowy Któregoś dnia Frącka wlatuje do chaty cała za-dy-sza-na i od drzwiów krzyczy, że była u Helci, tu na Matejki, i ani na mnie nie spojrzy. Kole statorów rupecy, motyką na prawo, w te i wew te świga, puczy się. Sam widzę, że antmosfera jest taka więcej nie do pojednania do-mo-we-go, więc skromnie czekam, aż ślub-nej przejdzie, a ta ko-niec końców powiada:— Marych, ady usiądź się tu kole mnie i szpyc-nij mi ale prościuteńko wew moje modre oczy, ale już!Ucupłem się na rycze i się grzecznie pytam, żeli mam tak długo szpycować, bo mam strach, że dostanę komplet-nego zyza. A ona na to:— Godej mi tu zaraz, wylyngo jedna, i to nie żadne tam hojdy-bojdy, ino caluteńką prawdę. Grałeś wew fyl-mie? No, czy ostatnio grałeś wew jakimisi fyl-mie za ar-ty-stę?— Mama, czy cię rąbie? — ja mówię. — Weż, jak nie, łyknij se jakie amedyny na łupież w oku, to ci może przejdzie!— Ty się nie wykręcaj! — rozwarła kalafkę. — Są dowody! Czarno na białym, a nawet wew ko-lo-rze. Fylm jest jeszcze na ekranach. I tak zaraz poletę do kintopu go obejrzyć. I pamiętaj, że jak cię roz-po-znam, tak jak Hel-cia cię poznała, to ty sam siebie nie poznasz, bo zrobię ci z pomieszkania taką zeksmisję, że goluteńki zostaniesz na ulicy, ty rozwiążył stary śrupie!— Mama, ja idę zez tobą — ja mówię. — Nikt tam zaocznie nie będzie mnie rozpoznawał. Ale to ci po-wiem, że dążysz do konfrontacji.I my poszli.Więc muszę powiedzieć, że polegało to na praw-dzie, co mówiła Frącka. Film faktycznie nie zszedł zez ekra-nów i nawet cieszył się u wiary godnym wzię-ciem. Mi też się nawet widział, a nazywał się tak ja-koś... cze-kaj-cie no... wstyd powiedzieć, ale *Zeksmisja*. A było to o ta-kich dwóch. Jeden lajcha, a drugi szcur. Oba zyn-dry dobrowolnie wknaiły się do lo-dów-ki, ażeby prze-czekać kryzys. No. Widocznie w tym jeich kryzysie nie wy-łą-cza-li prądu, bo lodówka się nie zacięła i w chłod-nej ant-mos-fe-rze wzajemnego zro-zu-mie-nia ockli się zez spi-ku, ale jak już minęło wiele lat. Kryzys też minął, ino że wybił wszystkich chłopów, a zostały się aby same ko-biec-ka. No istna groza, co te dwa nieboraki od tych ko-biet przeszły! Chebać jesz-czek więcej jak ja od Frąc-ki. No.Kryzysu, jak już mówiłem, dawno tam nie było, bo jak był tam pokazany mecz pomiędzy dwo-ma manami samych salach, to mogły na końcu wy-mie-niać się ko-szulkami. Znaczy się, na następny mecz widać miały nowe, a te, co w nich grały, to były aby takie jednora-zówki. No, sami powiedzcie, kto to wi-dział, żeby „Ko-lejorz” zaminał się z kim na jaczki po normalnej ko-pa-ni-nie w lidze? Abo, słuchajcie, jak te dwa męskie bo-ha-te-ry fyl-mu jechali se windą, to musiało być, ino słu-chaj-cie, mu-sia-ło być włączone ogrzewanie! Tak! Bo jedna taka, co jechała zez nimi, to przy nich z gorączki ze-ble-kła wszy-skie dyrdoki i goluteńka spytała się ino, żeli wolą górę, czy też dół. No, mówię wam, cołki czas szport jak nie wiem co.W jednym aby momencie to się nawet wzru-szy-łem jak stary stróżok. Wiecie kiedy? Wtedy, jak te dwa pa-rzy-gno-ty szły bez taką do cna zrujnowaną oko-li-cę i ni styndy, ni z owyndy nojdlu butelkę po jabolu. Od razu se pomyśla-łem, że w tym miejscu to jak nic raz kiedyś mu-siał być Rynek Łazarski. Ale oni się nie kapli. Może byli z War-szawy abo co?No, można powiedzieć, że dużo było szportu na tym fylmie. A jak taka jedna kobieta wew sztucz-nej peruce odepła se sztuczną klatkę zez piersiami, to cołkie kino chichrało się jak na jakiej komedii. Aby moja Frącka nic. Ani nie bąknie. Myślałem już, że się zdrzemła i garuje w najlepsze, ale nie! Widzę kantem oka, że szpycuje coł-ki czas na ekran, a jak pokazali tą ostatnią scenę z tymi go-lu-teń-ki-mi bymbasami rodzaju męskiego zez szpa-ra-ga-mi na wierzchu, to ona aż się uniesła zez emocji. Ale zaraz potem oklapła.Do samej chaty, jak my wracali, nie odezwała się do mnie ani jednym słowem. Naszykowałem więc sznytki na kola-cję, zrobiłem arbaty, siadam se wi-za-wis Frącki i się pytam:— I co, rozpoznałaś mnie? Grałem gdzieś za artystę w tym fylmie?— Wiesz, Maryś — powiedziała cicho Frącka — ja już sama zez tego wszystkiego jestem cołkiem gup-ko-wa-ta. Patrzałam się, patrzałam się, ale sama już nie wiem. Może faktycznie niesprawiedliwie cię po-są-dzi-łam?— Co ty nie powiesz? — ja jej na to. — A wew której niby scenie miałem się pokazać?— No, Helcia cię rozpoznała w tej ostatniej, jak te bymbasy leżą goluteńkie zez szparagami na wierz-chu. Ten jeden, ten zaraz od lewej, jak

patrzysz z prawej stro-ny od dołu, ten to niby jesteś wykapany cołki ty.— A podobny chociaż do onego jestem? — spytałem się.— Ciężko powiedzieć. Ale mnie się osobiście wy-da-je, że nawet żeli to jesteś ty, i to zwłaszcza w szcze-gó-łach, to chebać wew chorobnym po-mniej-sze-niu! I tu Frącka lujnęła się z płaczem na mnie i dali mnie przepraszać, a wiukać, a stękać, a te Helcię wy-zy-wać...Koniec końców położyłem ją nyny, a sam też po-szłem na garę, ale przed zaśnięciem jeszcze długo se tak na le-żan-ce o tym wszystkim rozmyślałem. I wiecie, że do tej Hel-ci, co napuściła na mnie Frąckę, to ja nie mam wew wo-gle żalu?! Ona nic nie jest win-na!Bo powiedzcie sami, żeli to ona jest jedna je-dy-ną-ca, co jej ekran wszystko wyolbrzymia?